

O starej kobiecie, kanarku i podróży wigilijnej

Czy słyszeliście kiedyś pieśń wiatru, który nie tylko wyje, ale zdaje się mówić ludzkim głosem? W te mroźne, zimowe noce, gdy zawieja odcina karkonoskie osady od reszty świata, w granitowych skałach budzi się przedziwna siła. To tam, na granicy światów, ludzka małość spotyka się z potęgą, której nie da się zmierzyć ani zważyć. Jeśli macie w sobie dość odwagi, by porzucić ciepło domów i ruszyć ku ośnieżonym szczytom, poznacie historię o Panu Szczytów. O kimś, kto surowo karze pychę, lecz potrafi obdarować tych, których serca pozostają czyste mimo nędzy.

Dawno temu, gdy zima była surową panią świata, serce Karkonoszy biło rytmem, którego dziś nikt już nie potrafi wyczuć. Był wigilijny wieczór. Mieszkańcy Jeleniej Góry, otuleni w aksamity, liczyli talary w swoich bezpiecznych kamienicach, zapominając, że nad ich głowami przechadza się ktoś, kto nie zna ludzkiego prawa. Duch Gór, zwany przez jednych z przekąsem Liczyrzepą, a przez innych z szacunkiem Karkonoszem, nie był tej nocy w nastroju do siania grozy. Wręcz przeciwnie – wiatr targał jego brodą, niosąc echo potężnego śmiechu. Właśnie utarł nosa pysznym rajcom, udowadniając im, że ich mądrość warta jest mniej niż garść zeszłorocznych liści.

Gdy śnieżycą gęstniała, Pan Gór zboczył ze szlaku. Tam, gdzie kończyła się ludzka pycha, a zaczynała prawdziwa bieda, stała samotna, nędzna chata. Wydawała się skulona pod ciężarem lodu, jakby przestała już błagać o litość.

– Ta chałupa ledwo dyszy pod śniegiem, niczym ranny zwierz – mruknął do siebie Duch Gór, zatrzymując się przed nieszczelnymi drzwiami. – Zobaczmy, czy w środku znajdę tylko rozpacz, czy może coś, czego rajcy nie kupią za żadne dukaty.

Głośno załomotał do drzwi i, nie czekając na zaproszenie, przekroczył próg. Wewnątrz cała jego wesołość zgasła. Ściany płakały zamarzniętymi skroplinami, a w kątach czał się gęsty mrok. W kominku dogasały ostatnie, nędzne węgle, rzucając na izbę siny blask. Na łóżku przykrytym łatanymi derkami spoczywała stara kobieta, tuląc w ramionach owinięte w szmaty niemowlę. Na dźwięk kroków podniosła się z wysiłkiem, a jej twarz wykrzywił lęk.

– Kto tam? Kim jesteście? – zapytała słabym głosem, starając się nie obudzić dziecka.

– Nie bójcie się, matko – odpowiedział gość, otrzepując śnieg z płaszcza. – Nie przynoszę złych nowin, choć noc na zewnątrz taka, że i kamień by zapłakał. Idę prosto z Jeleniej Góry... Przedziwne rzeczy się tam działy, całe miasto huczy od plotek!

Kobieta westchnęła ciężko, kładąc się z powrotem.

– Jelenia Góra to inny świat, wędrowcze. Tam pewnie u każdego na stole ryba i pieczywo, a u nas tylko mróz zagląda przez szpary. Co mi po tamtejszych dziwach, kiedy śmierć siada mi na karku? Syn z synową wyszli w tę zawieję po drwa i owies, byśmy dożyli rana. Jeśli góry ich zatrzymają, ani ja, ani ten maleńki nie doczekamy świtu.

Duch Gór przyjrzał się jej uważnie.

– Wyszli w taką kurniawę? Odważni... Myślicie, że Karkonosz by ich skrzywdził w taką noc?

– On nie pyta o datę – odrzekła z goryczą. – Liczyrzepa jest jak góra, nieczuły. Boję się o nich... A kim wy właściwie jesteście? Wasz głos brzmi, jakby echo niosło go z samej gardzieli Śnieżnych Kotłów.

Wędrowiec uśmiechnął się zagadkowo. Wyjaśnił, że jest jedynie „dłużnikiem tych gór”, gościem, który lubi patrzeć, jak kończy się rok. Kobieta, choć nieufna, pozwoliła mu zostać. Wskazała na dzban z wodą na stole, jedyne, co mogła mu zaoferować.

Wtedy stało się coś niezwykłego. Gość wyciągnął dłoń, jakby chciał pochwycić wirujący w powietrzu kurz. Nagle w mroku rozbłysło złote światło – na jego palcu zmaterializował się żywy kanarek. Ptak uderzył w radosny trzask, a w tej samej sekundzie dogasające polana w kominku buchnęły jasnym, gorącym płomieniem. Kobieta patrzyła na to z zachwytem. Wspomniała swojego męża, ptasznika, który zginął przed laty na wojnie.

– Wiem, gdzie spoczywa – powiedział cicho Duch Gór. – Zamknijcie oczy, matko. To, co słyszycie, to nie wiatr... to świst kul.

Izba wypełniła się nagle hukami armat i rżeniem koni. Kobieta, pogrążona w wizji, zobaczyła męża na dymiącym polu bitwy. Widziała, jak z poświęceniem trzyma poszarpany sztandar, jak kaszle od gryzącego dymu i jak w ostatniej chwili przed śmiercią posyła myśl ku swoim górom i domowi. Gdy wybuch armatni ucichł, w chacie znów panował spokój. Kobieta otarła łzy.

– Chciał wrócić... do ostatniej sekundy o nas myślał – szepnęła. – Dziękuję ci, teraz krąg się zamknął. Mogę odejść w pokoju.

Duch Gór nie pozwolił jej jednak pogрузić się w smutku. Chciał rozweselić jej duszę. Klasnął w dłonie, a dźwięk ten odbił się od ścian jak wystrzał z bicia. Nagle izbę wypełnił gwar jarmarku. Kobieta poczuła zapach goździków, pieczonych ryb i cynamonu. Zobaczyła oczyma duszy jeleniogórski rynek i pysznych rajców, którzy kupowali jedwabie i perły, mając się własnym bogactwem.

– Patrzcie teraz! – zaśmiał się Duch Gór i mrugnął okiem.

Wizja zmieniła się w komedię. Bogate piwo w kuflu burmistrza stało się wodą z kałuży, szafran zamienił się w igły sosnowe, a drogocenne perły żony rajcy spłynęły jej po szyi jako lodowe kulki. Stara kobieta wybuchnęła szczerym, głośnym śmiechem, jakiego nie słyszała u siebie od dekad.

Wędrowiec postanowił pokazać jej jeszcze więcej. Sprawił, że ściany chaty stały się cienkie jak mgła i zabrał jej ducha w podróż przez świat. Słyszała pieśń żeglarzy na Morzu Północnym, którzy mimo strachu przed otchłanią śpiewali kolędy. Poczuła zapach wosku w watykańskiej bazylice, gdzie tysiące świateł płonęło nadzieją. Wreszcie usłyszała śmiech dzieci w Londynie, rzucających śnieżkami obok bogato zdobionych powozów.

Gdy podróż dobiegła końca, kobieta spojrzała na gościa z pokorną ciekawością.

– Kim jesteście? Dlaczego robicie to dla biednej wdowy?

– Może dlatego, że w świecie pełnym ludzi, którzy mają wszystko, a nie dają nic, ty – nie mając nic – nie wyrzuciłaś wędrowca za drzwi – odparł z powagą. – Nazywaj mnie, jak chcesz. Jestem sędzią dla pychy i dłużnikiem dla czystych serc. Dziś góry spłacają dług tobie.

Kanarek znów zaczął śpiewać – pięknie, czysto, jakby streszczał całe jej trudne, ale uczciwe życie. Kobieta westchnęła ostatni raz, zamykając oczy z uśmiechem, a ptak nagle urwał swą pieśń.

Na zewnątrz zamieć cichła. Przez zaspy, resztką sił, brnęli syn z żoną. Gdy weszli do ciemnej izby, serca zamarły im z trwogi. Syn drżącymi rękami zapalił świecę i podszedł do łóżka.

Zobaczył nieruchome ciało matki, ale gdy jego żona wzięła na ręce niemowlę, dziecko zaczęło radośnie głużyć.

– Mężu, patrz! On żyje! Mama go ocaliła! – zawołała kobieta.

W tej samej chwili całą chatę zalało oślepiające, złote światło. Na stole same zapłonęły wysokie świece, w kominku buchnął ogień, a izbę wypełnił aromat wigilijnych potraw. Na blacie pojawiła się uczta, jakiej nie widział nigdy żaden król. Syn spojrzał na matkę – nie wyglądała na martwą. Wyglądała, jakby ubyło jej trzydzieści lat, a na jej wargach błąkał się promienny uśmiech szczęścia.

Młodzi nigdy nie dowiedzieli się, kto odwiedził ich dom. Zapamiętali tę noc jako wigilijny cud. Jednak ci, którzy znają mowę karkonoskich wiatrów, wiedzą, że to Pan Gór osobiście przyszedł spłacić swój dług. Tej nocy młoda kobieta miała piękny sen, w którym uśmiechnięta staruszka kroczyła pewnie ku świetlistej wieczności.

O koncercie jesiennym i pewnym weselu

Jesień w Karkonoszach to czas, gdy wiatr stroi swoje niewidzialne instrumenty w koronach świerków, a góry przygotowują się do wielkiego koncertu pod batutą samego Karkonosza. Duch Gór, choć srogi, posiada duszę czułą na dźwięki. Kocha muzykę ponad wszystko: rytmiczne stukanie dzięciołów, huk wodospadów i śpiew strumieni. Mówią, że gdy ma dobry humor, grywa na harfie sporządzonej z promieni słońca i strun deszczu. Pewnego razu postanowił jednak zjawić się na weselu prostych ludzi w Łąkowej Budzie, niosąc ze sobą figle, których biesiadnicy nie zapomnieli do końca swoich dni.

Tymczasem stromym, zasypanym liśćmi szlakiem pięła się ku górze osobiwa trupa. Na przedzie kroczył Bartek, starszy grajek o twarzy pooranej bruzdami. Tuż za nim szła Maryna, kobieta twarda i nieustępliwa, trzymająca na żelaznym łańcuchu potężnego niedźwiedzia Huberta. Zwierzę mruczało pod nosem, jakby komentowało każdy krok. Pochód zamykał David Hollatz, młody student-lutnista z Uniwersytetu w Wittenberdze, który z lękiem tulił swój instrument, bojąc się, by górska wilgoć nie zepsuła jego jasnego tonu.

– Dociśnijcie ten łańcuch, Maryno! – zawołał Bartek. – Jak Hubert poczuje wolność w tych borach, to go do Budy nie dociągniemy. A tam czeka piwo i grosz, o jakim wam się w księgach nie śniło, panie studencie!

David, choć marzył, patrzył z zachwytem na zbocza, gdzie złoto mieszało się z purpurą. Próbował tłumaczyć towarzyszom, że góry śpiewają własną pieśń, ale Maryna tylko prychnęła. Dla niej śpiew gór był jedynie wyciem wilków i trzaskiem gałęzi. Gdy student wspomniał, że jego profesorowie uważają Ducha Gór za zwykłą personifikację sił przyrody, Bartek ostrzegł go surowo:

– Tu, chłopcze, każdy kamień ma uszy. Hubert to czuje. On wie, że nie idziemy sami.

Nagle mgła zgęstniała, stając się nieprzeniknioną, mleczną ścianą. Szlak rozmył się, ustępując miejsca zdradliwym kępom mchu. Wędrowcy zamarli w pułapce. Wtedy, z samego środka szarości, wyłoniła się postać siedząca na pniu zwalonego świerka. Był to barczysty chłop w zniszczonym, wełnianym płaszczu.

– Droga do Budy jest prosta dla tego, kto słucha, a kręta dla tego, kto tylko patrzy – odezwał się nieznajomy, mierząc ich wzrokiem. – Widzę, że niesiecie skarb. Czy to lutnia, młody panie?

David, zaskoczony, że prosty chłop zna nazwę instrumentu, pozwolił mu go dotknąć. Gdy tylko palce nieznajomego spoczęły na gryfie, wydarzyło się coś niezwykłego. Nie szarpał strun – musnął je jedynie, a z lutni wydobył się dźwięk tak krystaliczny, że mgła wokół zaczęła drżeć i uciekać. Chłopem był sam Duch Gór. Zaczął grać melodię, jakiej świat nie słyszał: muzykę wiatru w szczelinach skał i echa narodzin Karkonoszy. Bartek opuścił kostur, Maryna wypuściła łańcuch, a niedźwiedź Hubert usiadł i zaczął się rytmicznie kołysać.

Gdy koncert dobiegł końca, David był blady z wrażenia.

– Kim jesteście? Żaden mistrz w Europie tak nie potrafi!

– Jestem tylko kimś, kto kocha muzykę – odrzekł Duch Gór, oddając instrument. – Pamiętajcie: struny nie służą do liczenia nut, ale do chwytania tego, co niewypowiedziane.

Wskazał im drogę i zanim David zdążył o cokolwiek zapytać, postać zaczęła tracić kontury, aż zmieniła się w kłęb mgły, który porwał wiatr.

W tym samym czasie w dolinie rozbrzmiały dzwony kościelne. Na wyboistą drogę wyjechała bryczka, w której siedział dumny Szewczyk ze swoją oblubienicą. Ich szczęście próbował mącić Sołtys, który zastąpił im drogę na koniu. Z jawną zawiścią dogryzał Szewczykowi, sugerując, że nie stać go na takie zbytki.

– Praca i oszczędność, akurat... – mrucał pod nosem, patrząc za oddalającą się parą. – Zobaczymy, czy ci tak wesoło będzie, jak przyjdzie rachunek zapłacić.

Przed gospoda, gdzie blask świec zapraszał do środka, Duch Gór znów pojawił się na moment przy Szewczyku. Ostrzegł go przed chciwością Sołtysa i zaproponował układ: oddanie niedźwiedzia Huberta w zamian za wieczór wolny od trosk. Szewczyk jednak odmówił. Hubert był darem dla jego żony, a dane słowo było dla niego świętością.

Zabawa jeszcze się nie zaczęła, gdy Sołtys wkroczył do akcji z urzędową laską w dłoni. Zaczął wymyślać coraz to nowe daniny: podatek od publicznej wesołości, opłatę za każdą strunę lutni... Szewczyk oddał ostatnie monety, a gdy i tych zabrakło, Panna Młoda wysypała na stół swój własny, mozolnie zbierany posag. Sołtys schował srebro, ale jego chciwość nie miała dna. Gdy nadszedł czas na pierwszy taniec, oznajmił:

– Pięć talarów do kasy! Albo... ustąpcie mi miejsca. Pozwólcie, bym to ja poprowadził pannę młodą, a zapomnę o długu.

To było zbyt wiele. Duch Gór, który cały czas obserwował scenę z cienia, wystąpił naprzód. Tym razem Panna Młoda sama poprosiła, by oddać wędrowcowi niedźwiedzia, jeśli tylko uwolni ich od upokorzenia.

– Hubert jest wasz – rzekł Szewczyk do Ducha Gór.

– Więc pozwólcie mi zatańczyć – odparł Karkonosz i rzucił na ziemię garść monet. – Masz tu swoje talary, urzędniku, i nie męcz nas więcej! Davidzie! Grajcie tak, jakbym to ja szarpał wasze struny!

Muzyka stała się szaleńcza. David czuł, jakby lutnia sama prowadziła jego dłonie. Duch Gór porwał Pannę Młodą do tańca, a w izbie zrobiło się lodowato. Sołtys, oślepiiony furią, rzucił się, by przerwać zabawę. Wtedy Duch Gór uniósł go jedną ręką wysoko nad ziemię.

– Chciałeś daniny? Oto twoja zapłata! Skoro lubisz krążyć nad cudzym nieszczęściem niczym ścierwo, bądź tym, kim jesteś w duszy!

Salę wypełnił gęsty dym. Gdy opadł, Sołtys zniknął. Na podłodze, pośród porzuconego ubrania, szamotał się czarny, pierzasty kruk. Ptaszysko z żalosnym krakaniem wypadło przez okno, niknąc w mroku nocy.

W gospoda zapanowała radość. Mury jakby się rozstały, a rzędy dębowych beczek wypełniły się najlepszym winem. Goście odkryli, że ich kieszenie są pełne złotych dukatów. Karkonosz pobłogosławił młodą parę, życząc im życia wolnego od lęku przed "małymi ludźmi".

Rankiem, gdy słońce zaczęło oświetlać szczyty, David Hollatz opuszczał Łąkową Budę. Na skraju polany dostrzegł Ducha Gór, u którego boku, bez pęt i łańcuchów, kroczył dumnie Hubert. Student podbiegł do nich, błagając o jeszcze jeden koncert, by mógł zapisać nuty.

– Muzyka, Davidzie, to nie technika, którą można skopiować – odrzekł Karkonosz. – Ćwicz. Słuchaj wiatru i deszczu. Obiecuję ci, że przed końcem twoich dni, gdy będziesz już stary, usłyszysz muzykę, przy której ta noc wyda ci się skromnym wstępem.

David stał na ścieżce tak długo, aż obie postacie rozplynęły się w porannym blasku. Choć wracał do świata logiki, na dnie jego serca na zawsze pozostał dźwięk, którego nie dało się zapisać żadną nutą – melodia wolności.

O tym jak Duch Gór pogrzeb sam sobie wyprawił

Stare podania niosły wieści o surowości Karkonosza. Duch Gór często schodził między śmiertelników pod różnymi postaciami, by wystawiać ich serca na próbę. Biada była temu, kto w chciwości swojej zapomniiał o bliźnim – taką osobę karał dotkliwie, odbierając jej to, co kochała najbardziej. Jednak Karkonosz równie mocno potrafił docenić ciche poświęcenie i dobroć ukrytą pod znośnym kaftanem. Przekonali się o tym mieszkańcy Kowar, gdy pewnego razu pan karkonoskich szczytów postanowił sprawdzić, ile warte jest ich współczucie.

W Kowarach zimna jesień nadeszła nagle i bezlitośnie. Lodowaty wiatr hulał po brukowanych uliczkach, targając ostatnimi liśćmi i wdzierając się pod kołnierze nielicznych przechodniów. Przez ten przejmujący ziąb biegła młoda Basia, posługaczka w miejscowym zajeździe. Jej twarz była szczupła, a dłonie czerwone od mrozu, lecz w oczach miała determinację kogoś, kto

dźwigał na swoich barkach los całej rodziny. Każda minuta spóźnienia mogła oznaczać utratę szansy na zarobek i wyżywienie dzieci czekających w zimnej izbie.

Nagle, tuż przy murze starej dzwonnicy, drogę zastąpiła jej skulona postać żebraka. Stał boso na gołej ziemi, trzęsąc się z zimna w łachmanach tak cienkich, że niemal prześwitywało przez nie ciało.

– Dobra kobieto... rzuć choć kęs chleba... – wychrypiał nędzarz.

Basia, choć sama nie miała przy duszy ani grosza, nie odwróciła wzroku. Obiecała starcowi, że jeśli przyjdzie wieczorem pod tylne drzwi zajazdu, wyniesie mu resztki polewki lub piątkę chleba. Nie wiedziała, że gdy ruszyła pędem dalej, żebrak uśmiechnął się dziwnie, a jego oczy błysnęły wiarą i mocą. Był to bowiem sam Duch Gór.

W zajęździe panował nieznośny zgietk, a Gospodarz – człowiek o sercu twardym jak podeszwa – uwijał się między stolikami, łząc Basię za każde spóźnienie. Gdy jeden z gości potrącił dziewczynę, a gliniane talerze rozbiły się w drobny mak, Gospodarz wpadł w furję. Pozbawił ją dniówki i wyrzucił w mroźną noc. Mimo własnego nieszczęścia, Basia odnalazła żebraka przy kuchennych drzwiach. Wyciągnęła swoją ostatnią miskę z kilkoma ziemniakami – jej jedynym posiłkiem, który odłożyła sobie w ciągu dnia.

– Proszę, zjedzcie to – szepnęła. – Niech wam wyjdzie na zdrowie.

– Dobra z ciebie dusza, Basiu – odrzekł nieznajomy. – Dobro, które dziś posiadaś, wróci do ciebie stokrotnym plonem.

Następnego dnia Kowary zatrzęsyły się od nowin. Przed zajazdem stanęła srebrna karoca, a w miasteczku pojawił się potężny Książę z dalekich krajów. Elita miasteczka – Gospodarz, Doktorowa i Pastor – niemal dławiała się z chciwości na myśl o bogactwach gościa. Książę ogłosił, że nagrodzi złotem każdego, kto mu usłuży, ale postawił dziwne warunki. Aby dowieść swojej pokory, Doktorowa miała gdakać jak kura, a Pastor ryczeć niczym osioł za każdym razem, gdy wspomniano o bogactwie. Zaślepieni wizją spadku, dystyngowani obywatele wydawali z siebie zwierzęce odgłosy pod dyktando nieznajomego, podczas gdy w kufrach na górze brzęczały złote monety.

Zanim jednak nadeszło rozwiązanie, Książę wezwał Basię. Wyciągnął spod stołu znajomy przedmiot – jej wyszczerbioną, glinianą miskę.

– To twoja własność. Oddaję ci ją, bo dotrzymałaś obietnicy danej komuś, kto nie mógł ci się odwdzięczyć – rzekł z niezwykle spokojem. Wyznał, że jest opiekunem tych gór i nakazał jej zanieść naczynie do domu.

Wkrótce miasteczko obiegła wieść o śmierci Księcia. Zgodnie z jego wolą, przygotowano pogrzeb, jakiego świat nie widział. Mieszkańcy Kowar, licząc na obiecane złoto, sformowali ogromną procesję z asystą wojskową i dobozami. Gdy jednak na cmentarzu otworzono wieko mahoniowej trumny, zamiast ciała dostojnika znaleziono w niej jedynie świeże krowie łajno. Oburzony tłum rozpierzchnął się, złorzecząc zmarłemu, a Gospodarz, Pastor i Doktorowa pędzili na złamanie karku do zajazdu, wierząc, że złoto wciąż czeka w kufrach. Jednak i tam zamiast dukatów znaleźli jedynie ciemną, cuchnącą gnojownicę.

W tym samym czasie, w ubogiej chatce na skraju miasteczka, Basia postawiła na stole swoją starą miskę. Gdy tylko naczynie dotknęło blatu, gliniana powłoka zaczęła pękać i opadać niczym sucha skóra, a spod niej wyłoniło się najczystsze, lśniące złoto. Misa stała się królewskim skarbem, wartym więcej niż całe miasteczko. Radosny śmiech Basi uniósł się nad dachem chaty, mieszając się z potężnym wiatrem. Gdzieś na karkonoskich szczytach Duch Gór uśmiechnął się, wiedząc, że prawdziwe dobro zawsze znajduje drogę powrotną do właściciela.